

Fragment 2 („Zdażyć przed Panem Bogiem”)

Edelman

- Dlaczego zostałeś lekarzem?

- Bo musiałem nadal robić to, co wtedy robiłem. Co robiłem w getcie. W getcie za czterdzieści tysięcy ludzi - tyłu było w kwietniu 1943 roku - podjęliśmy decyzję. Postanowiliśmy, że nie pójdą dobrowolnie na śmierć. Jako lekarz mogłem odpowiadać za życie przynajmniej jednego człowieka - więc zostałem lekarzem.

Chciałabys, żebyś tak odpowiedział, prawda? To by zabrzmiało dobrze? Ale wcale tak nie było. Było tak, że skończyła się wojna. Wojna - dla wszystkich wygrana. Ale dla mnie to była przegrana wojna i wciąż mi się zdawało, że jeszcze coś muszę zrobić, gdzieś iść, że ktoś na mnie czeka i trzeba go ratować. Gnało mnie z miasta do miasta i z kraju do kraju, ale jak przyjeżdżałem, to okazywało się, że nikt nie czeka i nie ma już komu pomóc i w ogóle nie ma nic do zrobienia, więc wróciłem (mówili mi: “I ty chcesz patrzeć na te mury, na bruki, na puste ulice?”), a ja wiedziałem, że muszę tutaj być, żeby na to patrzeć), wróciłem więc, położyłem się na łóżku i tak zostałem. Spałem. Przesypiałem dni i tygodnie. Od czasu do czasu budzili mnie i mówili, że przecież coś muszę z sobą zrobić - przyszła mi na myśl ekonomia, już nie pamiętam dlaczego, wreszcie Ala zapisała mnie na medycynę. Więc poszedłem uczyć się medycyny.

Ala była już wtedy moją żoną. Poznałem ją, kiedy przyszła z patrolem zorganizowanym przez doktora Świtala z AK, żeby nas wyprowadzić z bunkra na Żoliborzu. Zostaliśmy tam, na Promyka, po powstaniu warszawskim, m.in. Antek, Celina, Tosia Goliborska, ja - i w listopadzie przysłano po nas ten patrol. (Ulica Promyka jest tuż nad Wisłą, była to jeszcze linia frontu, wszystko zaminowane, więc Ala zdjęła pantofle i przeszła przez pole minowe boso, bo myślała, że jak pójdzie po minach boso, to nie wybuchną.)

Ala zapisała mnie na medycynę, więc zacząłem tam chodzić, ale mnie to nic a nic nie interesowało, i kiedy wracaliśmy do domu to znowu kładłem się na łóżku. Wszyscy się pilnie uczyli, a ponieważ ja leżałem twarzą do ściany - zaczęli mi rysować na tej ścianie różne rzeczy, żeby chociaż coś zapamiętał. To żółądek mi rysowali, to znów serce, bardzo starannie zresztą, z komorami, przedsionkami, aortą...

Trwało to ze dwa lata - przez ten czas sadzano mnie od czasu do czasu w jakimś prezydium...

- Już byłeś na statusie bohatera?

- Coś w tym rodzaju. Albo mówili: “Niech pan opowie, niech pan opowie, jak to było”. Ale ja byłem raczej powściągliwy i w tych prezydiach wypadałem słabo.

Czy wiesz, co najlepiej z tego okresu pamiętam?

Śmierć Mikołaja. Tego, który był członkiem “Żegoty”¹ (Rady Pomocy Żydom) jako przedstawiciel naszego podziemia.

Mikołaj chorował i umarł.

Umarł, rozumiesz? Zwyczajnie, w szpitalu, na łóżku! Pierwszy ze znanych mi ludzi umarł, a nie został zabity. Dzień wcześniej odwiedziłem go w szpitalu, a on powiedział: “Panie Marku, gdyby coś się ze mną miało stać, to tu, pod poduszką, mam zeszyt i wszystko wyliczone, co do grosza. Mogą kiedyś jeszcze o to zapytać, więc niech pan pamięta, że saldo się zgadza, a nawet została reszta”.

Czy wiesz, co to było?

To był taki gruby zeszyt w czarnej okładce, w której on przez całą wojnę zapisywał, na co wydajemy dolary. Te, które ze zrzutów dostawaliśmy na broń. Jeszcze kilkadziesiąt zostało i też były w tym zeszytce.

- Czy wręczyłeś resztę i zeszyt tym przywódcom związkowym w Ameryce, którzy cię, wzruszeni, gościli w sześćdziesiątym trzecim roku?

- Wiesz - że w ogóle nie zabrałem go ze szpitala. Opowiedziałem o nim Antkowi i Celinie i - pamiętam - strasznie żeśmy się z tej historii śmiali. Z zeszytu, i że Mikołaj tak jakoś dziwnie umiera, leżąc w czystej pościeli na łóżku. Dosłownie pękaliśmy ze śmiechu, aż Celina musiała nam przypomnieć, że przecież to nie wypada.

- Czy przestali ci w końcu rysować te serca na ścianie?

- Tak.

Któregoś dnia wpadłem na jakiś wykład - pewnie żeby tylko indeks podpisać - i usłyszałem, że profesor mówi: “Kiedy lekarz wie, jak wygląda oko chorego, jak wygląda skóra, jak język, to powinien wiedzieć, co temu choremu jest”. Spodobało mi się to. Pomyślałem, że choroba człowieka jest jakby rozsypaną łamigłówką, i jak się ją dobrze złoży, to się wie, co jest w człowieku, w środku.

Od tej pory zająłem się medycyną, a dalej już może być to, od czego chciałaś zacząć, a co zrozumiałem znacznie, znacznie później: że jako lekarz mogę nadal odpowiadać za życie ludzkie.

- Dlaczego właściwie musisz odpowiadać za życie ludzkie?

- Pewnie dlatego, że wszystko inne wydaje mi się mniej ważne.

¹ Polska organizacja podziemna działająca w latach 1942-1945, działająca jako organ rządu polskiego na uchodźstwie, której zadaniem było organizowanie pomocy dla Żydów w gettach.

- Może chodzi o to, że miałeś wtedy dwadzieścia lat? Jak się przeżywa najważniejsze chwile życia w wieku lat dwudziestu, to później dość trudno o równie sensowne zajęcie...

- Wiesz, w klinice, w której potem pracowałem, była taka wielka palma. Stawałem czasem pod nią - i widziałem sale, na których leżeli moi pacjenci. To były dawne czasy, kiedy nie mieliśmy dzisiejszych lekarstw ani zabiegów, ani aparatów, i większość ludzi w tych moich salach skazana była na śmierć. Moje zadanie polegało na tym, żeby możliwie najwięcej spośród nich ocalić - i uprzytomniłem sobie kiedyś pod tą palmą, że właściwie to jest to samo zadanie, co tam. Na Umschlagplatzu². Wtedy też stałem przy bramie i wyciągałem jednostki z tłumu skazanych.

- I tak stoisz przy tej bramie przez całe życie?

- Właściwie tak. A kiedy nic już nie mogę zrobić - to pozostaje mi jedno: zapewnić im komfortową śmierć. Żeby nie wiedzieli, nie cierpieli, nie bali się. Żeby się nie poniżali.

- Mówiono mi, że kiedy leczysz przypadki banalne i niegroźne - robisz to niejako z obowiązku, ożywasz się prawdziwie, dopiero kiedy zaczyna się gra. Kiedy zaczyna się wyścig ze śmiercią.

- Na tym polega przecież moja rola.

Pan Bóg już chce zgasić świeczkę, a ja muszę szybko osłonić płomień, wykorzystując Jego chwilową nieuwagę. Niech się pali choć trochę dłużej, niż On by sobie życzył.

To jest ważne: On nie jest za bardzo sprawiedliwy. To jest również przyjemne, bo jeżeli się coś uda - to bądź co bądź Jego wywiodło się w pole...

- Wyścig z Panem Bogiem? Cóż to za pycha!

- Wiesz, kiedy człowiek odprowadza innych ludzi do wagonów, to może mieć z Nim później parę spraw do załatwienia. A wszyscy przechodzili koło mnie, bo stałem przy bramie od pierwszego do ostatniego dnia. Wszyscy, czterysta tysięcy ludzi przeszło koło mnie.

Oczywiście, każde życie kończy się i tak tym samym, ale chodzi o odroczenie wyroku, o osiem, dziesięć, piętnaście lat. To wcale nie jest mało. Kiedy córka Tenenbaumowej przeżyła dzięki numerkowi trzy miesiące - uważałem, że to dużo, bo przez te trzy miesiące zdążyła się dowiedzieć, czym jest miłość. A dziewczynki, które leczylimy na stenozy i na zastawki, zdążyły dorosnąć i kochać się, i urodzić dzieci, więc o ileż więcej zdążyły niż córka Tenenbaumowej.

Miałem taką dziewięcioletnią dziewczynkę, Urszulę, ze zwężeniem zastawki dwudzielnej płuc, odpluwała różową, pianistą płwociną i dusiła się - ale wtedy nie operowaliśmy jeszcze dzieci. W ogóle dopiero zaczynano operować w Polsce wady serca, ale ona już umierała, więc zadzwoniłem do profesora, że mała zaraz się udusi. Przyleciał po dwóch godzinach samolotem i jeszcze tego samego dnia ją zoperował. Szybko się poprawiła, później wyszła ze szpitala, skończyła szkołę... Czasem przychodzi do nas, to z mężem, to rozwiedziona, ładna, wysoka, czarna - przedtem szpecił ją trochę zez, ale załatwiliśmy operację u bardzo dobrego okulisty i oczy już też ma w porządku.

Potem mieliśmy Teresę z wadą serca, obrzękłą jak beczułka, umierającą. Jak tylko zeszyły jej obrzęki, powiedziała: "Proszę wypisać mnie do domu", a przez cały ten czas nikt z domu do niej nie przychodził. Poszedłem tam - był to pokój na zapleczu z betonową podłogą, mieszkała z chorą matką i dwiema młodszymi siostrami, powiedziała, że musi już iść, bo trzeba się tymi siostrami zająć - miała wtedy dziesięć lat - i poszła. Urodziła później dziecko, po porodzie znów trzeba było wyciągać ją z obrzęku płuc, ale jak tylko mogła oddychać, powiedziała, że musi już iść, dziecka dopilnować. Czasami do nas przychodzi i mówi, że ma wszystko, co chciała mieć, dom, dziecko, męża, a najważniejsze, mówi, że wyszła z tego pokoju za sklepem.

Potem mieliśmy Grażynę z domu dziecka, której ojciec alkoholik zmarł w szpitalu dla psychicznie chorych, a matka na gruźlicę. Mówiłem jej, że nie powinna rodzić, ale urodziła i wróciła do nas z nieomąganym krążeniem. Jest coraz słabsza, już nie może pracować, już nie może tego dziecka wziąć na ręce, ale chodzi z nim na spacerki z wózkami, dumna, że ma dziecko jak każda normalna kobieta. Mąż bardzo ją kocha i nie zgadza się na zabieg, a my nie mamy odwagi nalegać i Grażyna gaśnie tak powolutku.

Może źle ci opowiadam, ale już ich teraz nie pamiętam dokładnie. To dziwne. Kiedy są, kiedy jest z nimi źle, kiedy im trzeba pomóc - stają ci się najbliżsi na świecie i wiesz o nich wszystko. Wiesz, że mają kamienną podłogę, ojciec pije, a matka jest chora psychicznie, że w szkole są kłopoty z matematyką, a ten mąż wcale się dla niej nie nadaje, a na studiach jest właśnie sesja egzaminacyjna, więc trzeba wziąć taksówkę i posłać ją na ten egzamin razem z pielęgniarką i lekarstwami, wiesz także wszystko o jej sercu: że ma za wąskie ujście w zastawce albo za szerokie (jak za wąskie - to jest niedokrwienie, a jak za szerokie - to krew zalega i nie wypływa na obwód), patrzysz na nią i kiedy jest taka ładna, wątła, z różową cerą, to znaczy, że krew zalega na obwodzie i nastąpiło rozszerzenie drobnych naczyń podskórnych, a jak jest blada i tętnią jej naczynia na szyi, to ma za szerokie ujście aortalne... Wszystko o nich wiesz i są ci najbliżsi przez te parę dni śmiertelnego

² Umschlagplatz (niem. *plac zamiany*) miejsce związane z holokaustem w getcie warszawskim, z którego Niemcy deportowali Żydów do obozu zagłady w Treblince.

niebezpieczeństwa. Ale potem poprawiają się, wychodzą do domu, zapominasz ich twarze, przywożą kogoś nowego i już tylko ten ktoś jest najważniejszy.

Parę dni temu przywieźli siedemdziesięcioletnią staruszkę z niedomogą. Profesor zoperował ją, była to naprawdę ryzykowna operacja - w ostrej niedomodze krążenia. Zасыpiając modliła się: "Panie Boże - mówila - pobłogosław ręce pana profesora i myśli lekarzy z Pirogowa". ("Lekarze z Pirogowa" - to właśnie my, ja i Aga Żuchowska.)

No powiedz, komu, poza moją pacjentką - staruszką, przysłoby do głowy modlić się o moje myśli?

Kardiolog³

W tym samym czasie Profesor był chirurgiem w Radomiu, w szpitalu św. Kazimierza. (Profesor jest wysokim, szpakowatym, dystygowanym mężczyzną. Ma piękne ręce. Lubi muzykę, sam chętnie grywał na skrzypcach. Zna liczne języki obce. Jego pradziad był napoleońskim oficerem, a dziad powstańcem.)

Do tego szpitala codziennie przywożono jakiegoś rannego partyzanta.

Partyzanci mieli przeważnie przestrelone brzuchy. Tych z postrzałem w głowę trudno było dowieźć do szpitala. Operował więc żołądki, śledziony, pęcherze i jelita grube, trzydzieści, czterdzieści brzuchów potrafił zoperować w ciągu dnia.

Latem czterdziestego czwartego zaczęto dowozić klatki piersiowe, bo powstał przyczółek w Warce. Dużo klatek dowożono, rozerwanych szrapnelem albo odłamkiem granatu, albo kawałkiem framugi białej pociskiem w pierś. Wyłaziły z nich płuca i serca, więc trzeba było je jakoś załatać i wepchnąć na miejsce.

A kiedy ruszyła ofensywa styczniowa na zachód - doszły jeszcze i głowy: wojsko miało transport i przywożono rannych na czas.

"Chirurg musi wciąż ćwiczyc palce - mówi Profesor. - Jak pianista. A ja miałem wczesną i bogatą praktykę".

Wojna jest doskonałą szkołą dla młodego chirurga: Profesor nabrał więc (dzięki partyzantom) kolosalnej wprawy w operowaniu brzucha, dzięki frontowi - w operowaniu głów, ale najważniejsza okazała się Warka.

Podczas wareckiego przyczółka Profesor zobaczył po raz pierwszy otwarte, bijące serce.

Przed wojną nikt nie widział, jak bije serce, nawet u zwierzęcia, a któż by męczył zwierzę, skoro to się i tak nigdy nie przyda medycynie. Dopiero w czterdziestym siódmym po raz pierwszy w Polsce otwarto chirurgicznie klatkę piersiową i zrobił to prof. Crafoord, przybyły specjalnie ze Sztokholmu, ale i on nie otworzył nawet osierdzia. Wszyscy patrzyli wtedy urzeczeni na worek osierdziowy, który poruszał się rytmicznie, jakby w nim było ukryte małe, żywe zwierzątko i tylko on jeden - nie profesor Crafoord wcale, tylko on wiedział dokładnie, jak wygląda to coś, co się w worku niespokojnie porusza. Tylko on bowiem, a nie światowej sławy szwedzki gość, wyciągał z chłopskich serc kawałki szmat, kul i okiennych framug, dzięki czemu zresztą już w pięć lat później, dwudziestego czerwca pięćdziesiątego drugiego roku, potrafił otworzyć serce niejkiej Kwapisz Genowefy i zoperować jej stenozę mitralną.

Istnieje bliski i logiczny związek między sercami spod Warki a wszystkimi innymi, które operował potem, włączając w to, naturalnie, i serce pana Rudnego, majstra z dziedziny maszyn pasmanteryjnych, i serce pani Bubnerowej (której błogosławionej pamięci mąż udzielał się społecznie w gminie wyznania mojżeszowego i dzięki temu była całkiem spokojna przed operacją, a nawet uspokajała lekarzy: "Proszę się nie denerwować - mówiła im - mój mąż ma bardzo dobre stosunki z Panem Bogiem, już on tam na pewno wszystko załatwi jak potrzeba"), i serce pana Rzewuskiego, prezesa Automobilklubu, i wiele, wiele innych serc.

Rudnemu przeszczepiono żyłę z nogi do serca, żeby dać szerszą drogę krwi - w chwili gdy zaczynał się zawał. Rzewuskiemu przeszczepiono taką żyłę, gdy zawał już trwał. Pani Bubnerowej zmieniono kierunek biegu krwi w sercu...

Czy pan Profesor przed taką operacją się boi?

O, tak. Boi się bardzo. Czuję strach tutaj, o, tu, pośrodku.

I za każdym razem ma nadzieję, że w ostatniej chwili stanie się coś, co mu przeszkodzi: interniści zabronią, pacjent się rozmyśli, może nawet on sam ucieknie z gabinetu...

Czego się boi pan Profesor? Pana Boga? O, tak, Pana Boga boi się bardzo, ale nie najbardziej na świecie.

Że pacjent umrze?

³ Jan Moll. W czasie wojny pracował jako chirurg w Radomiu, z narażeniem życia ratując m.in. żołnierzy AK. Po wojnie związany początkowo ze Szpitalem im. J. Strusia w Poznaniu, gdzie stworzył Oddział Chirurgii Torakalnej, a następnie od 1 czerwca 1958 roku ze Szpitalem Klinicznym im. dr. S. Sterlinga w Łodzi. W 1977 został dyrektorem Instytutu Kardiologii i kierownikiem Kliniki Kardiologii Akademii Medycznej w Łodzi. W 1953 roku skonstruował pierwszy polski aparat sztuczne płuco-serce do krążenia pozaustrojowego. W 1954 roku przeprowadził pierwsze w Polsce lewostronne cewnikowanie serca, pierwszy w Polsce założył pomosty aortalno-wieńcowe (tzw. by-passy); 4 stycznia 1969 roku **dokonał pierwszego w Polsce przeszczepu serca** (trzydzieści miesięcy po pierwszej na świecie transplantacji serca).

Tego też, ale wie - wszyscy wiedzą - że bez operacji umrze i tak, to pewne.

Więc czego się boi?

Boi się, że koledzy powiedzą: On eksperymentuje na człowieku. A to jest najgorsze oskarżenie ze wszystkich, jakie mogą paść.

Lekarze mają swoją komórkę kontroli zawodowej i Profesor opowiada, że pewien chirurg potrafił kiedyś dziecko, zabrał je do samochodu, położył na swoim oddziale i wyleczył. Dzieciak jest zdrow, matka nie ma pretensji, tylko kontrola zawodowa uznała, że leczenie dziecka na własnym oddziale było sprzeczne z etyką, i udzieliła lekarzowi nagany. Nie mógł wykonywać zawodu i wkrótce zmarł na serce.

Profesor opowiada o tym ot tak. Właściwie bez związku. Ponieważ pytałem, czego lekarz się boi.

Z tą etyką wszystko jest o wiele bardziej skomplikowane, niż ja sobie wyobrażam.

Na przykład: gdyby nie zoperował prezesa Rzewuskiego, to Rzewuski by zmarł. Nie stałoby się wtedy nic szczególnego: tylu ludzi umiera w zawale... Każdy by to zrozumiał bez wyjaśnień.

Gdyby jednak Rzewuski zmarł po operacji - o, to już co innego. Ktoś mógłby wtedy zauważyć, że jednak na świecie takich zabiegów nikt nie robi. Ktoś inny zapytałby, czy Profesor nie jest zbyt lekkomyślny czasem, i to już mogłoby zabrzmieć jak uogólnienie...[...]